



ANATOL FRANCE.

# Crainquebille.

NOWELA.

(Dalszy ciąg).

Ponieważ nie zdawał sobie sprawy ze swego występkę, nie miał też dokładnego poczucia krzywdy. Orzeczenie sądu wydało mu się rzeczą uroczystą, rytualną, wyższą, rzeczą wspólną, której się nie rozumie, lecz o której się nie mówi, rzeczą, z której nie można być dumnym, ale na którą skarżyć się nie trzeba. Gdyby w tej chwili zobaczył prezesa Bourriche'a w aureoli nad czołem, spływającego na białych skrzydłach przez otwarty sufit, nie zdziwiłby się zupełnie tą nową manifestacją niepojętej chwały prawa. Powiedziałby raczej: „Oto dalszy ciąg mojej sprawy”.

Nazajutrz odwiedził go adwokat.

— No i cóż, mój stary, niebardzo ci tu źle? Odwagi. Dwa tygodnie przeleć szybko. Nie mamy się tak znów bardzo na co skarżyć.

— O, co do tego można powiedzieć, że ci panowie byli bardzo łaskawi, bardzo grzeczni; ani jednego grubiańskiego słowa. Nawet nie myślałem. Cypał włożył białe rękawiczki. Widział pan?

— Ale, Crainquebille, mam dla was dobrą nowinę. Pewna litościwa osoba, którą udało mi się zainteresować waszym losem, dała dla was 50 franków, które są przeznaczone na zapłacenie przysądzonej wam kary.

— Kiedy mi pan da te 50 franków?

— One będą złożone do kancelarii sądowej. Bądźcie spokojni.

— Wszystko jedno. Proszę podziękować tej osobie.

I Crainquebille zadumał się głęboko.

— To jednak niezwykle, co mi się wydarzyło.

— Nie przesadzaj stary. Takie zdarzenia nie są tak rzadkie, jak ci się zdaje, o wcale nie.

— A czy nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie się podział mój wózek?...

## Crainquebille wobec opinii.

Crainquebille po wyjściu z więzienia pchał swój wózek przez ulicę Montmartre, wołając: Kapusta, brukselki, marchew! Nie był dumnym, ani nie wstydził się swej awantury. Zachował tylko przykre o niej wspomnienie. Było to coś, niby teatr, podróż czy marzenie. Czuł się też zadowolonym, że idzie po zabłoconym bruku miejskim i widzi nad głową niebo rozsmokłe w wodzie, brudne, dobre niebo rodzinnego miasta. Zatrzymywał się na każdym rogu i pił wodę, a potem dziwnie swobodny i radosny poplukał w stwardniałe dłonie i rzeźko ujmował drażki wózka, podczas gdy wróble, jak on ranne i biedne i jak on żyjące z ulicy, odfruwają stadem, spłoszone jego nawoływaniem. Stara gosposia zbliżyła się i zaczęła oglądać selery.

— Co wam się stało, ojcze Crainquebille'u? Trzy tygodnie was nie widziałam. Byliście chorzy? Przybledliście nieco.

— Przeciwnie, pani Mailloche, zostałem rentierem.

Nic się nie zmieniło w trybie jego życia, tylko że chodził częściej do przekupniów, gdyż zdawało mu się, że przeżywa jakieś święto, bo poznał miłośnych ludzi. Powracał wesół na swoje poddasze. Leżąc na starym materacu, naciągał na siebie worki, pożyczane od kupca z rogu, które mu służyły za przykrycie i myślał: „Włazienie, nie można się skarżyć, ma się tam wszystko co potrzeba. Ale zawsze lepiej u siebie”.

Zadowolenie krótko trwało. Zauważył, że dawne klientki traktują go inaczej.

— Piękne selery, pani Cointreau.

— Dziękuję, nic mi nie potrzeba.

— Nic. Jakto nic? przecież pani nie żyje powietrzem.

Pani Cointreau wyniosła i milcząca, wchodziła do wielkiej piekarni, której była właścicielką. Właścicielki sklepików i woźne, dawniej pilnie schylone nad kwitnącym zielenią wóz-

kiem, teraz odwracały się od niego. Doszedłszy do szewskiego sklepu na Ange-Gardien, gdzie zaczęła się jego awantura, zawołał:

— Pani Bayard, pani Bayard, pani mi winna czternaście su.

Ale pani Bayard, siedząca za kontuarem, nie raczyła nawet podnieść głowy.

Cała ulica Montmartre wiedziała, że Crainquebille wyszedł z więzienia i cała ulica przestała go znać. Wieść o nieszczęsnym uwiezieniu doszła aż do przedmieścia i ruchliwego rogu ulicy Richer. Tam też raz koło południa zauważył panią Laure, swoją dawną i stałą klientkę, nachyloną nad wózkiem małego Martina. Oglądała kapustę. Włosy jej błyszczały w słońcu jak bujne złote nitki, rzadka pozatamywane. A mały Martin, nicpoń, brudny ulicznik, przysięgał z ręką na sercu, że piękniejszego towaru nigdzie nie znajdzie. Na ten widok rozdarło się serce Crainquebille'a. Zatoczył swój wózek bliżej i odezwał się do pani Laure głosem pełnym żalu:

— Czy to pięknie tak się sprzeniewierzać?

Pani Laure, jak sama przyznawała, nie była arystokratką. Nie w salonach wielkiego świata dowiedziała się o istnieniu policyjnego wózka i aresztu. Ale można być dumnym w każdym stanie. Każdy ma swoją miłość własną i nieprzyjemnie jest mieć do czynienia z człowiekiem, który wyszedł z więzienia. Nie odpowiedziała więc i odwróciła się z poczuciem pewnej wyższości. Stary przekupień zbyt żywo odczuł afront i bez namysłu z goryczą rzucił:

— Ty wymoczku!

Pani Laure upuściła zieloną kapustę i czerwona z gniewu wykrzyknęła:

— Patrzcie go, stary koń! Wyszło to z więzienia i będzie ludzi tu obrażał!

Crainquebille w zwykłych okolicznościach zachowując całą swą zimną krew nie wymawiałby nigdy pani Laure jej życia. Wiedział dobrze, że na tym świecie nie zawsze robi się to co się chciało, że nikt nie wybiera sobie rzemiosła, lecz że można wszędzie znaleźć dobrych ludzi. Miał mądry zwyczaj nie interesowania się tem, co robią jego klientki i nie lekceważył nikogo. Ale w tej chwili nie panował nad sobą. Trzy razy nazwał panią Laure wywłoką, wymoczkiem, gałganiństwem. Gromadka ciekawych wkrótce ich otoczyła, a oni wymieniali coraz dosadniejsze obelgi i napewno wyczerpaliby cały swój różnobarwny różaniec — gdy nagle nie wiadomo skąd zjawił się policjant milczący i nieruchomy — więc jak on zamilkł i znieruchomieli. Rozeszli się. Ale ta scena zgubiła ostatecznie Crainquebille'a w opinii przedmieścia Montmartre i ulicy Richer.

## Konsekwencje.

Stary szedł mrucząc:

— A to dopiero jędz! Z pewnością niema gorszej jędy niż ta kobieta. Ale w głębi serca nie za to miał żal do niej. Nigdy jej nie lekceważył — szanował raczej, gdyż była oszczędna i stateczna. Dawniej chętnie ze sobą rozmawiali. Opowiadali ze sobą o rodzicach, mieszkających na wsi. Oboje mieli jednakowe pragnienie: posiadać mały ogródek i hodować kury. Była najlepszą z jego klientek. Widzieć więc ją kupującą kapustę od małego Martina, brudnego ulicznika, nicponia, — było to otrzymać cios w samo serce. A gdy spostrzegł że odwraca się ze wzgardą, gorycz w nim wezbrała — i stało się.

Gorzej że nie tylko ona jedna unikała go, jakby był trędowatym. Nikt go znać nie chciał. Pani Laure, pani Cointreau, pani Bayard z Ange-Gardien — wszyscy odwracali się z pogardą.

I cóż. Dlatego że go schowali na 15 dni nie jest już zdatnym do sprzedawania porów? Czy to sprawiedliwie? Czy to rozumnie kazać umierać z głodu człowiekowi, dlatego że miał zatarg z policją? Gdy nie będzie mógł sprzedawać jarzyn — wpadnie w nędzę.

Kwaśniał jak wino źle zakorkowane. Po kłótni z panią Laure klócił się z całym światem. Z łada powodu prawil niegrzeczności klientkom i to bez ogródek. Gdy zbyt długo oglądały towar, nazywał je podłemi skrzekami i nędzarkami. Łajał towarzyszków. Jego przyjaciel,

handlujący kasztanami nie poznawał go i dowodził, że ten przeklęty Crainquebille to istny jeżozwierz. Nie można było temu zaprzeczyć: źle sypiał stary, nieokrzesany, niepowściągliwy, zręczny. Gdy widząc społeczeństwo niedoskonałe, trudniej mu było niż profesorowi szkoły nauk moralnych i politycznych wyrażać swoje poglądy o brakach systemu i o konieczności reform, wreszcie myśli nie rozsuwały się w jego mózgu równo i systematycznie.

Nieszczęście czyniło go niesprawiedliwym; mścił się na tych, którzy mu źle nie życzyli, a czasem nawet na słabszych. Raz spoliczkował małego Alfonsa syna kupca winnego, którego zapytał, czy dobrze było w schowaniu. Uderzył go mówiąc:

— Wstętny bachorze. To twój ojciec powinien siedzieć zamiast dorabiać się na truciznach.

(D. c. n.).

## Prorocza komedia.

II

Przedziwna trafność psychologii stron walczących w „Nieboskiej komedji“, owa jasnowidząca wprost przenikliwość, o której wspomnieliśmy, polega na całym szeregu nagich prawd, wyczułych przez Zygmunta Krasińskiego w tych, których nazywa „demokratami“. Milionowe armie Pankracego są tylko ślepo posłusznym jemu, i własnym rozbudzonym żarłocznościom żywiołom. Głównym motywem działania tych rozbawionych mas jest uczucie zemsty, nie zaś ideologia jakowaś. Nie jest to nawet niecierpliwość w sięganiu po dojrzały owoc równości komunistycznej, nie jest to żaden fanatyzm sekciarski, lecz proste dzikie szaleństwo zemsty i orgia niszczycielstwa. To ten sam stan psychologiczny, który Fryderyk Nietzsche we wszelkich wogóle rewolucjach społecznych i który nie pozwala mu iść razem z demokracją. W potopie nienawiści, który buszuje w zwycięskim pochodzie oddziałów Pankracego, nie ma z jednego jasnieszego promienia myśli, idei, serca, świadomości. I tylko on jeden, wódz ma w głowie program, plan, świadomość celu i rozum rewolucji. Pioruny czynu i sugestji, które dzierży w swym reku — są naprawdę piorunami. Mają na sobie piękno wyższego pochodzenia. Pankracy tak samo góruje nad tłuszcą swych wojsk i nad tłumem swych oficerów, jak jego herbowy przeciwnik, Hrabia Henryk nad świetną zgrają zdegenerowanych baronów i książąt.

Pankracy jest samotny i nikt go właściwie nie rozumie. Słuchają go i wielbią, korzą się przed jego potęgą, ale go nie pojmują. Przy całej swej pozornej jednolitości — jest on w sobie samym rozdwójony. Choć radykalny i bezlitosny i posyła zwyciężonych arystokratów na rozstrzelanie i szubienice — nie czuje się zwycięzcą. Nie napawa go rozkoszą widok kalu krwi. Owszem, tragiczna śmierć młodziutkiego hrabicy, cudownego a ślepego poety-dziecka oraz bohaterski skok jego ojca w przepaść — dwa święte trupy, naraz nieoczekiwane, krzeszą w duszy Pankracego iskry świętych przeżyć i niepokojów. Wdarłszy się na okopy świętej Trójcy, w szczerku bojowego tryumfu, ma jakąś halucynację mistyczną. Widzi Chrystusa z takim straszliwym światłem męczeńskich oczów, że jasności tej znieść nie może. Samemu się zdaje, że można przed takim światłem uchronić swoje oczy; nawet oddany przyjaciel — dionią swą te oczy mu zakrywa. Ale to daremne, ręce Leonarda są jak galareta przezroczyście. Pankracy bowiem w duchu swoim, a nie żrenicami, ujrzał widmo Zbawiciela a na to nie ma rady. Przemówił w nim straszny głos sumienia czy wyższej mądrości, która ukazała nagle całą niskość lub może nietrwałość jego metody reformowania świata, wobec wiekistych praw ducha i ideału. Ten spóźniony człowiek w oka mgnieniu załamał się przed błyskawicą własnego zwątpienia o słuszności mordu i zniszczenia.

Krasiński okazał się wielkim artystą i człowiekiem subtelного smaku, że owo właściw-